

A. CONAN DOYLE.

# Motor Brown-Pericard.

Tłum. Bronisław Falk.

Był to zimny, mglisty, ponury wieczór majowy. Na Strandzie niewyraźne plamki świetlne wskazywały, gdzie stoją latarnie. Jasne okna wystawowe migotały niepewnie w ciężkim, przesyconym wilgocią powietrzu, rżąc wokół promienie przytłumionego światła.

Szeregi dumnych kamienic, prowadzące do bulwarów nad rzeką, stały ciemne i opuszczone, oświetlone co najwyżej słabymi lampkami strażniczymi. Tylko w jednym miejscu padał z trzech okien na drugi piętrze snop silnego światła, przerywający przykrą monotonię długiej linii domów. Przechodnie z ciekawością spoglądali w górę i zwracali uwagę na płonące jasno okna, które należały do Franciszka Pericarda, wynalazcy i elektrotechnika. Daleko w mroki nocy światło jego lamp niosło wieść o niewyczerpanej energii i niezmordowanej pracy, która postawiła go w tak krótkim czasie w szeregu najwybitniejszych jego kolegów.

W pokoju siedziało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był sam Pericard — o orlich, ostrych rysach twarzy, siwych włosach i żywych ruchach, które świadczyły o jego celtyckim pochodzeniu. Drugi — gruby, silnie zbudowany, z niebieskimi oczyma, był to ogólnie znany mechanik, Jeremjasz Brown. Niejeden wynalazek był ich wspólną własnością, osiągnięciem twórczym geniuszem pierwszego, którego drugi wspomógł swemi wiadomościami praktycznymi. Przyjaciele wahali się zawsze, któremu z nich oddać pierwszeństwo.

Odwiedziny Browna w pracowni Pericarda o tak późnej godzinie, nie były przypadkowe. Sprowadził go interes, ważny interes. Miał on zdecydować o klęsce lub sukcesie całych miesięcy wspólnej pracy, a może i o ich przyszłości. Przegradzał ich długi, brudny stół, poplamiony i strawiony przez silne kwasy, na którym wały się akumulatory Fawea, stosy volty, zwoje drutów i wielkie laski nieprzewodzącej porcelany. Wśród stosu rupieci stała, hucząc i turkocząc, maszyna, na którą zwrócone były oczy obu współników.

Mała, kwadratowa skrzynka metalowa połączona była szeregiem drutów z szerokim, stalowym pasem, zaopatrzonym z obu stron w dwa potężne, sterujące na zewnątrz człony. Pas był nieruchomy, lecz oba człony z krótkimi, przytwierdzonymi do nich ramionami, obracały się co kilka sekund, przyczem po każdym takim rytmicznym obrocie następowała przerwa. Siła popędowa pochodziła widocznie z metalowej skrzynki. W powietrzu unosił się słaby zapach ozonu.

— A gdzież skrzydła, Brownie? — zapytał wynalazca.

— Trudno było przynieść je. Są zbyt duże. Mają siedem stóp na trzy. Ale siła motoru wystarczy do ich poruszenia. Za to ręczę.

— Aljaż aluminium z miedzią?

— Tak jest.

— Popatrz, jak wspaniale pracuje. Pericard wyciągnął chudą, nerwową rękę i nacisnął guzik w mechanizmie. Człony zaczęły się wolniej poruszać i nagle stanęły. Dotknął znowu sprężyny i ramiona zadrzęły, budząc się do swego ruchliwego metalowego życia.

— Kierownik nie potrzebuje wyteżać sił — zauważył. — Ma zachowywać się biernie i słuchać tylko własnego rozumu.

— Dzięki mojemu motorowi — rzekł Brown.

— Naszemu motorowi — przerwał drugi ostro.

— Oh, rzecz prosta — rzekł niecierpliwie jego kolega. — Motor jest twoim pomysłem, który ja wykonałem. Nazwij go, jak ci się podoba.

— Nazwę go motorem „Brown-Pericard”! — zawołał wynalazca z błyskiem gniewu w swoich czarnych oczach. — Tyś opracował szczegóły, ale myśl jest moja, tylko moja.

— Sama myśl nie stworzy maszyny — rzekł Brown niezadowolony.

— Dlatego też zostałeś moim współnikiem — odparł drugi, bębniąc nerwowo palcami po stole. — Ja zrobiłem wynalazek, tyś go wykończył. To prosty podział pracy.

Brown wydał wargi niezupełnie zadowolony takim przedstawieniem sprawy. Widząc jednak, że dalsza argumentacja była bezużyteczna, zwrócił uwagę na maszynę, która drżała i kołysała się za każdym poruszeniem ramion, jakby lada chwila miała zlecieć ze stołu.

— Czy to nie wspaniale? — zawołał Pericard.

— To zadawałające — rzekł więcej flegmatyczny Anglo-sas.

— To nieśmiertelny wynalazek.

— Przyniesie dużo pieniędzy.

— Nazwiska nasze staną się równie sławne, jak nazwiska braci Montgolfierów.

— Lub jak nazwiska Rotszyldów.

— Nie, nie, Brownie; zapatrujesz się na to zbyt materialnie! — zawołał wynalazca, odrywając płonące oczy od maszyny i przenosząc je na swojego towarzysza. — Majątki nasze, to drobnostka. Pieniądze może mieć pierwszy lepszy, chociażby najgłupszy, dorobkiewicz. Mam wyższe aspiracje. Prawdziwą naszą nagrodą będzie wdzięczność i zadowolenie całej ludzkości.

Brown wzruszył ramionami.

— Zrzekam się ich na twoją korzyść — rzekł. — Jestem człowiekiem praktycznym. Musimy wypróbować nasz wynalazek.

— Ale gdzie?

— O tem chciałem pomówić. Musi to pozostać zupełną tajemnicą. Gdybyśmy mieli jakąś posiadłość w Londynie, na uboczu, wszystko poszłoby łatwo, ale o odosobnieniu nie ma w Londynie nawet co myśleć.

— Musimy zabrać maszynę na wieś.

— Mam myśl — rzekł Brown. — Brat mój ma skrawek gruntu w Sussex, na wyżynie, w pobliżu Beachy Head. Przypominam sobie, że jest tam wielka i obszerna stodoła, niedaleko domu. Will przebywa teraz w Szkocji, ale klucz jest zawsze do mojego rozporządzenia. Moglibyśmy przenieść tam jutro maszynę i wypróbować ją w stodole.

— Byłoby to znakomicie.

— O pierwszej odchodzi pociąg do Eastbourne.

— Będę na stacji.

— Weź z sobą przyrząd, a ja zabiorę skrzydła — rzekł mechanik, wstając od stołu. — Jutro okaże się, czyśmy gonili za widmem, czy też szczęście uśmiechnęło się do nas rzeczywiście. O godzinie pierwszej na dworcu Wiktorji. — Zbiegł szybko ze schodów i zginał niebawem w tłumie znużonych, przemoczonych ludzi, którzy nadchodzili i znikali ze Strandu.

Ranek był jasny, jakby wiosenny. Ponad Londynem, na bladym łuku niebios, przesuwały się leniwie delikatne, białe chmurki. O jedenastej Brown wstąpił do Urzędu patentowego, niosąc pod pachą wielki zwój pergaminu, rysunki i plany. O dwunastej wyszedł uśmiechnięty i otworzywszy portfel, włożył do niego z całą ostrożnością małą ćwiartkę urzędowego papieru. Pięć minut przed pierwszą dorożka jego zajęchała przed dworzec Wiktorji. Dorożkarz zdjął z wierzchu powozu dwa olbrzymie, pokryte suknem pakunki, podobne do wielkich gąsiorów i oddał je tragarzowi. Po peronie chodził długimi krokami, tam i z powrotem, Pericard, wymachując rękami; jego zapadłe, żółte policzki zabarwił lekki rumieniec.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

Brown w odpowiedzi wskazał na pakunki.

— Motor i pas znajdują się już w wozie bagażowym. Hej! pakier! Ostrożnie, gdyż to delikatne i droga maszyna. No! Teraz możemy jechać.

Drogocenny motor włożono w Eastbourn do powozu, a wielkie skrzydła umieszczono na jego wierzchu. Po dłuższej jeździe przybyli do domu, gdzie znajdowały się klucze, a stamtąd ruszyli wprost przez nagie wydmy. Budynek, który był celem ich podróży, był to zwyczajny, białe otynkowany dworek, z szeregiem stajen i przybudówek.

Stał w małej, poroślej trawą dolince, u stóp wapiennych skał. Zamieszkały, nie odznaczał się wesołością, a teraz jego bezdymne kominy i zamknięte okiennice wywoływały przykre wrażenie. Właściciel zasadził dokoła szereg młodych sosenek i świerków, ale podmulił je ulewny deszcz tak, że dziś stały w melancholicznych grupach, z uschniętymi gałęziami. Było to miejsce smutne i odrażające.

Ale wynalazcy nie zwracali uwagi na takie drobnostki. Odosobnienie było im tem bardziej na rękę. Przy pomocy woźnicy przenieśli swoje pakunki do ciemnej jadalni. O zachodzie słońca oznajmił im daleki turkot kół, że byli wreszcie sami.

Pericard otworzył okiennice i przez brudne szyby przedarło się łagodne światło wieczoru. Brown wyciągnął z kieszeni nóż i przeciął sznury, którymi związane były pokryte suknem paczki. Kiedy opadło brudne okrycie, ukazały się dwa wielkie skrzydła z żółtego metalu. Oparł je ostrożnie o ścianę. Z kolei wypakowano pas, spoidła i motor. Ciemność zapadła, nim złożono wszystkie składowe części. Zapalono lampę i przy jej świetle obaj mężczyźni poprzykręcali śruby, założyli nity i poczynili ostatnie przygotowania do doświadczenia.

— Koniec — rzekł wreszcie Brown, cofając się wreszcie wstecz i spoglądając na maszynę okiem krytycznym.

Pericard nie rzekł słowa, ale twarz jego jaśniała dumą i nadzieją.

— Musimy coś zjeść — wtrącił Brown, wydobywając przyniesione z sobą zapasy.

Potem.

— Nie, teraz — rzekł uparty mechanik. Umieram z głodu. Usiadł przy stole i zjadał smacznie, podczas gdy jego towarzysze, celi, chodząc denerwowany po pokoju, z załamanymi rękoma i niespokojnymi oczyma.

A teraz — rzekł Brown, rozglądając się dokoła i strzepując okruszyny — który z nas włoży to na siebie?

— Ja! — zawołał jego towarzysz z pośpiechem. — Nocy dzisiaj dokonujemy czynu, który przejdzie do historii.

Ale to grozi! pewnem niebezpieczeństwem — poddał Brown. — Nie możemy przewidzieć z całą dokładnością, jak będzie działał.

— To nic — rzekł Pericard, machnawszy ręką.

— Ale niema potrzeby, abyśmy narażali się na niebezpieczeństwo.

— A zatem? Wszak jeden z nas musi to uczynić.

— Nie. Motor działać będzie równie dobrze, o ile przymocujemy go do jakiegoś martwego przedmiotu.

— To prawda — rzekł Pericard z namysłem.

— Obok stodoły leżą cegły. Mam tu worek. Napełnimy go, zajmie on nasze miejsce.

— Dobra myśl. Nie widzę przeszkód.

— Chodź zatem!

Wyszli, niosąc części składowe maszyny. Księżyc świecił jasno, chociaż niekiedy zakrywały go postrzępione chmurki. Na wydmach panował spokój i cisza. Nad słuchiwali chwilę przed wejściem do stodoły, ale żaden odgłos nie dochodził do ich uszu, oprócz niewyraźnego poszumu morza i szczerkania psa w oddali. Pericard wracał kilka razy po wszystkie potrzebne rzeczy, podczas gdy Brown napełniał cegłami długi, ciasny worek.

Kiedy przygotowano wszystko, drzwi stodoły zostały zamknięte, a na próżnej pace postawiono lampę. Worek z cegłami złożono na dwóch podstawkach, a wokół niego przeprowadzono szeroki pas stalowy. Z kolei przymocowane zostały do pasa wielkie skrzydła, druty i metalowa skrzynka z motorem. Wkońcu przytwierdzono do spodu worka płaski ster stalowy, w kształcie rybiego ogona.

— Może krążyć jedynie po małym obwodzie — rzekł Pericard, spoglądając na nagie ściany.

— Przechyl ster na jedną stronę — poddał Brown. — Teraz już wszystko w porządku. Pociśnij guzik i niech rusza w drogę!

Pericard pochylił się naprzód, a długa, poślizgnięta twarz jego drżała z podniecenia. Białe, nerwowe ręce szukały czegoś między drutami. Brown stał spokojnie, przyglądając się wszystkiemu wzrokiem krytycznym. Maszyna poderwała się nagle. Żółte skrzydła ściągnęły się konwulsyjnie raz, drugi i trzeci, coraz wolniej i coraz silniej, nabierając rozpędu. Za czwartym razem dał się odczuć w stodole silny podmuch wiatru. Za piątym worek z cegłami zaczął tańczyć na podstawach. Za szóstym skoczył w powietrze i upadłby na ziemię, ale podtrzymało go siódme poruszenie skrzydeł, które pchnęło go naprzód. Wznosząc się zwolna, zaczął krążyć w powietrzu, jak wielki, niezgrabny ptak, wypełniając stodołę brzęczeniem i szumem. W niepewnym, żółtym świetle jedynej lampy widać było niesamowity przedmiot, niknący w cieniu i wyłaniający się znowu za chwilę w wąskim kręgu światła.

Obaj mężczyźni stali chwilę w milczeniu. Potem Pericard wznosił ręce w górę.

— Działa! — zawołał. — Motor Brown-Pericard działa! — Zaczął tańczyć w upojeniu.

Brown mrugnął oczyma i zagwizdał.

Popatrz, jak równo idzie, Brownie! — zawołał wynalazca. A ster — jak wspaniale działa! Trzeba go jutro zarejestrować.

Twarz jego towarzysza pociemniała i ściągnęła się. — Już jest zarejestrowany — rzekł z wymuszonym uśmiechem.

— Zarejestrowany? — rzekł Pericard. — Zarejestrowany! — Powtórzył to słowo najpierw szepem, potem nieledwie krzycząc. — Któż odważył się zarejestrować mój wynalazek?

— Zrobiłem to sam dziś rano. Niema się co denerwować. Wszystko w porządku.

— Zarejestrowałeś motor. Pod jakim nazwiskiem?

— Pod moim własnym — rzekł Brown. — Sądzę, że miałem do tego prawo.

— A mojego nazwiska nie wymieniałeś?

— Nie, ale...

— Łotrze! — wrzasnął Pericard. — Złodzieju i łotrze! Kradniesz moje dzieło! Pozbawiasz mnie prawa własności. Oddaj mi patent, inaczej wydrę ci go z gardła! — Złowrogi ogień zapalił się w jego czarnych oczach, a ręce zacisnęły się w wściekłość.